

8.09. Mgarr, miasto królików – Aleksander Sławiński

Tego dnia nie było zajęć i cały dzień mieliśmy dla siebie. Na Malcie wypadało bowiem święto narodowe – Dzień Zwycięstwa, upamiętniający koniec oblężenia wyspy w czasie II Wojny Światowej. Spodziewaliśmy się z tej okazji hucznych obchodów, zwłaszcza, że o właśnie takich czytaliśmy wcześniej w internecie.

Niestety, restrykcję covidowe, do których Maltańczycy podchodzą śmiertelnie poważnie, sprawiły, że żadnych parad, defilad i kolorowych pochodów w tym roku nie było.

Podczas gdy większość grupy mimo to postanowiła udać się do stolicy – Valetty – ja, oraz mój kolega z pokoju Wojtek, ruszyliśmy w drogę do miejscowości Mgarr.

Nasz wybór nie był przypadkowy – otóż poprzedniego dnia zapytaliśmy naszego nauczyciela Danny'ego, gdzie jego zdaniem znajdziemy najbardziej zabitą dechami prowincję (by nie użyć brzydszego słowa). Pragnęliśmy zobaczyć Malte „prawdziwą” bez turystów, bez tłumy. Danny niemal bez wahania stwierdził – jedźcie do Mgarr.

Rzeczywiście nawet samo dotarcie do tej miejscowości nie było proste. Mgarr miał nam jednak do zaoferowania też coś innego – otóż jest on uznawany za krajową stolicę królików, narodowego dania Malty, zwanego w ich języku fenek.

Normalnie nie zdecydowalibyśmy się na posiłek z uroczego króliczka, ale, jak mówią, kulinaria są częścią podróży. Więc wstyd nie spróbować.

Po kilku przesiadkach i półgodzinnym spacerze w upale (okazało się bowiem, że do miasta tego dnia nie dojeżdża żaden autobus, więc musieliśmy wysiadać przy skřęcie z głównej drogi) dotarliśmy do Mgarr. Co tu dużo mówić – typowa Malta, wszechobecny piaskowiec, stare pobrytyjskie samochody, wszechobecne figurki Maryi. Do tego jednak cisza, rozległe przestrzenie i zieleń – coś czego nam w Saint Julian's bardzo brakowało.

Miejscowość okazała się zresztą całkiem zadbana i dość ruchliwa jak na największy wygwizdów wyspy. Jej centrum, jak w każdym szanującym się maltańskim mieście, stanowił kościół o ogromnej, przeskalowanej kopule. Ma ona kształt jaja – jak się potem dowiedzieliśmy nie był to przypadek. Jej budowa została w dużym stopniu sfinansowana właśnie z handlu kurzymi jajami. Ku mojej irytacji tuż pod kościołem spotkaliśmy turystów, co gorsza Polaków, więc cały sen o „Malcie bez turystów” się rozwiął. Nie zniechęceni jednak rozpoczęliśmy zwiedzanie miasta, obserwowani przez grupę starszych panów siedzących na ławeczce z boku świątyni.

Tuż obok kościoła znaleźliśmy prawdziwą „ulicę Królików” – w szeregu, obok siebie znajdowało się kilka restauracji zachwalających swojego fenka. Miast jednak wstąpić do pierwszej lepszej, postanowiliśmy zasięgnąć opinii lokalsów.

Poznana w sklepie Pani z pełnym przekonaniem kazała nam udać się do jednego z przybytków. Królik miał być tam the best. Zastanawialiśmy się czy przypadkiem knajpa nie należy do jej męża czy kuzyna, a pani właśnie nie dzwoni do niego by podmienił menu na droższe, niemniej kierowani radą wróciliśmy w stronę kościoła.

Po rzeczywiście dobrym obiedzie i kieliszku wina, ruszyliśmy w dalszą trasę. Jak okazuje się Malta to taki kraj, gdzie nawet jadąc w miejsce, gdzie podobno nic nie ma, natykasz się na zabytki klasy zero. Z internetu Wojtek dowiedział się, że tuż obok nas stoi prehistoryczny megalit – resztki świątyni Ta' Ħaġrat starszej niż najbardziej wiekowe budynki Egiptu czy Sumeru. Idąc do niego cieszyliśmy się otaczającą nas przestrzenią, oddychaliśmy w końcu pełną piersią.

Maltańczycy, dosłownie tonąc w historycznych skarbach, niezbyt się o nie troszczą. Świątynia znajdowała się na końcu bocznej uliczki, między zaparkowanymi samochodami, a górami żelastwa i śmieci.

Nie ma co się oszukiwać, Ta' Ħaġrat nie robi wielkiego wrażenia. Ot grupa kamieni, trudno odróżniających od skał porzrzucanych wokół, po których wałęsają się koty. Napis na zardzewiałej furtce oznajmił nam, że zwiedzanie możliwe jest wyłącznie do 15. Bardzo maltańska godzina zamknięcia.

Ruszyliśmy na piechotę dalej, dochodząc do miasta Zebbug. Po prawej stronie mieliśmy przepiękną rozpadlinę, a pnąc się lekko w górę zorientowaliśmy się, że widzimy wyspę jak na dłoni. Zarówno

za nami, jak i przed nami widać było oblewające ten kraj Morze Śródziemne.

Jak się okazało w Zebbug również można natknąć się na megalit – Skorba - pochodzący mniej więcej z tego samego okresu. Ten z kolei znajdował się gdzieś między nie dokończoną budową, a czymś ogrodem, równie zapomniany co jego odpowiednik. Przysiedliśmy z Wojtkiem napawając się banalnym pięknem zachodu słońca i rozprawiając o ludziach, którzy żyli w tym samym miejscu przed pięcioma tysiącami lat.

Czas było jednak wracać do domu. Widząc, że najbliższy autobus do Valetty mamy dopiero za pół godziny, postanowiliśmy przejść część trasy piechotą. Nie wiedzieliśmy jednak, że droga, którą się kierujemy jest typową przelotówką nie posiadającą żadnych przystanków, a nim doszliśmy do kolejnego z nich, autobus nas minął.

Zmierzch zapadał, a my połykaliśmy kolejne kilometry tej malutkiej wyspy. Śmiało się, że przejdziemy całą na piechotę. Postanowiliśmy łąpać stopa – bezskutecznie. W końcu zlitował się nad nami kierowca innego jadącego tamtędy autobusu. Jadąc z nim natknęliśmy się nareszcie na ślady święta narodowego – w miejscowości Mosta trwała właśnie procesja maryjna, a tamtejszy kościół – bodaj największy w kraju, udekorowany był białymi i czerwonymi lampkami.

W końcu, po długim czasie i kolejnych kilku przesiadkach, byliśmy u siebie, w gwarnym i zatłoczonym St. Julien's. Akurat zaczynał się mecz Polska-Anglia, który oglądaliśmy w lokalnym pubie. Zadowoleni, że udało nam się zaliczyć prawdziwie maltańską włóczęgę.